

W idźmy, opuszczającemu Teatr Kameralny po przedstawieniu „Trojanki” Eurypidesa w adaptacji Sartre'a, towarzyszą tw. uczucia mieszane, w skali od niechęci do aprobaty. Już dawno nie mieliśmy przedstawienia, gdzie do tego stopnia ważne okazało się oddzielanie ziarna od młnej wartościowych produktów. Czasami zresztą chodzi nie tyle o samą generalną koncepcję przedstawienia, ale o korekturę tonu, natężenia — drobne, ale istotne przesunięcia akcentów. „Trojanki” — zwłaszcza pomyślane tak, jak to zrobił reż. Bogdan Hussakowski — wymagają najwyższej precyzji. Młodemu reżyserowi, który dotychczasowymi realizacjami dobrze się zapowiedział, zadrżała ręka, i to nie raz. Obok momentów, że tylko przyklasnąć, są partie wymykające się artystycznym dyscyplinie, którą z taką surowością i godnym pochwały uporem realizatorzy chcieli sobie narzucić. „Trojanki” zostały bowiem pomyślane bardzo monolitycznie, miały zostać wygrane dosłownie na jednej strunie. Struna owa, mimo że nie pozbawiona zaleceń przez Sartre'a elementów ironicznych, wydaje dźwięki z górnych rejestrow tragiczności i patosu. W komentarzu do swojej adaptacji pisze autor „Dróg wolności”, że cała ta mitologiczna historia mu-

Jan Pleszczaehowicz

Egzystencjalistyczny Eurypides

si być dla współczesnego widza oprawiona w humor, który „mógł być osiągalny tylko przez dystans, przez zmuszenie widza do obiektywizacji swoich przeżyć”. W przedstawieniu krakowskim zagubił się gdzieś nie tylko „humor” Sartre'a, ale i gorzka ironia Eurypidesa. Nastąpiło dość dziwne spięcie: Eurypides francuskiego pisarza, w kostiumach aluzyjnych w stosunku do epoki powstania oryginału, grany atoli z surowością i patosem stylu Sofoklesa — nie bez chęci modernizacji. W rezultacie widz zmuszony jest próbować odbierać bez dystansu to, co z dystansem było pomyślane, a co zostało zapowiedziane w dowcipnie zainscenizowanym prologu.

W prostej, ewokującej egzystencjalistyczną samotność, klęskę i zagubienie scenografii Wojciecha Krakowskiego, tworzącej kamienną pustynię, poszczególne sceny prezentują się w rysunku bardzo czystym, bez przesadnej malowniczości. Reżyser dobrze manew-

ruje plastycznie chórem. Gorzej jest z głosem. Te partie, kiedy chór wykonuje coś na kształt niezbyt głośnego „mruzcanda”, są dobre, podkreślają i ilustrują akcję. Wydają się natomiast zupełnie nie do przyjęcia jęki i płacze, rozdzielające uszy, ale nie serce widza. Oscylacja pomiędzy dyskrecją a wybuchem, cechuje również poszczególne role. Ogromny wysiłek Zofii Niewińskiej, bezustannie obecnej i czynnej na scenie, godny jest uwagi. Niewińska jest najlepsza wtedy, kiedy powściągliwie, ale i z ogromną goryczą mówi o przeniewierstwie losu i bogów — samotnych, nie pomijających żadnej okazji, aby wykaazać swą małostkowość. Jedyną rzeczą, którą mogą zrobić dla ludzi, to umrzeć. Dyskusyjną, ale pełną wyrazu postać szalonej Kassandra stworzyła Hanna Wietrzny. Z ustawieniem jej roli można się nie zgodzić, ale nie można jej odmówić dużej siły ekspresji. Najbardziej ze wszystkich żeń-

skich ról podobała mi się Barbara Bosak (Andromacha). Jej determinacja, pomieszana z rozpaczą, z egzystencjalistycznym przekonaniem, że każdy wybór jednakowo prowadzi do nikaąd, do śmierci, łączy się z godnością własną, dumą istotą miążdżoną, która bogom odmawia satysfakcji żalów i lamentów. Scena pożegnania Andromachy ze skazanym na śmierć przez okrutnych zwysięłców synkiem, należy do najlepszych w sztuce. Wspomnieć należy i o parze, która stała się motorem wojny trojańskiej: pięknej Helenie (Izabela Olszewska), pełnej kołębcej kokieterii i Menelaoisie (Kazimierz Witkiewicz), nie grzeszącym lotnością umysłu i inteligencją, zwłaszcza przy swej niewiernej żonie-kokietce. Tępy m żołdakiem, nie pozbawionym wszakże odruchów ludzkich, był Tałtyblos (Marek Dąbrowski).

Oglądając „Trojanki”, widz raz po raz musi się zastanawiać, na ile mamy do czynienia z Eurypidesem, a na ile z jego adapta-

Z teatru

torom. Osobowość Sartre'a sacyła wyraźnie na tendencji filozoficznej, zamieniając chwilami „Trojanki” w eksplikację teo absurdu istnienia i braku wartości najwyższych, transcendentalnych. Warto jednakże zwrócić uwagę, że jest to jednocześnie sztuka pacyfistyczna, z wyraźnymi nawiązaniami do wojen kolonialistycznych, prowadzonych przez Francję (Wietnam, Algieria). Pisarz demaskuje europejską obłudę w głoszeniu humanistycznych hasel, przy jednoczesnej pogardzie i okrucieństwie w stosunku do „azjatyckich” Trojan. Tyle że tendencyjność pisarza egzystencjalistycznych bywa i męcząca i martwa. Na scenie słychać, jak szeleszczą papierowe dusze bohaterów. I pomyśleć tylko, że Eurypides uchodził za niesrównanego malarza ludzkiej psychiki i namiętności! Ale to już sprawy inne, nie dotyczące się bezpośrednio naszego przedstawienia. Przedstawienie, które — jeśli je potraktować jako częściową bodaj porażkę — jest porażką ambitną.

Eurypides — Sartre: Trojanki. Tłum.: Jerzy Lisowski. Reż. Bogdan Hussakowski. Scen.: Wojciech Krakowski. Muz.: Włodzimierz Szczepanek. Ruch scen.: Zofia Władysława. As. reż.: Aleksander Bednarz. Teatr Kameralny.